

Wszystkie prawie listy zaczynają się tak samo: „Moim marzeniem jest stać się członkiem Klubu Młodych Autorów. Przesyłam Wam moje próbki. To się pewnie nie nadaje...”

— No cóż — czasem się nadaje, czasem nie, a jeśli nie — jest nam naprawdę przykro i żal. Odkładamy list do dolnej szuflady i mamy nadzieję, że autorowi powiedzie się następnym razem.

Ostatnio coraz więcej prac jest do druku. Niektóre po prostu czekają w kolejce, bo, choć jak zauważyliście, Klub ukazuje się teraz częściej, miejsca ciągle za mało.

A teraz odpowiedzi na pytania i propozycje:

— Czy można przelać tylko jedną pracę, czy więcej? Oczywiście można więcej, ile kto chce i potrafi. Najlepszy dowód, że Toniego z Kowar drukujemy po raz drugi. Słowo honoru, nie przez protekcję, tylko dlatego, że to dalszy ciąg ciekawej historii.

— Czy nie zamierzamy wyróżniać niektórych prac, jakoś podkreślać, które uważamy za najlepsze? Nie, po prostu dlatego, że drukujemy jednocześnie reportaże, wspomnienia, wypowiedzi, opowiadania, czasem wiersze. Nie można tak różnych rodzajów prac ze sobą porównywać. Natomiast uczciwie przyznajemy się, że damy pierwszeństwo autentynom, właśnie reportażom, fragmentom pamiętników, wypowiedziom w dyskusji.

— Czy bardzo się nabijamy w redakcji z nieudanych prac? Nie, wcale. Każdy z nas ma na sumieniu niejedną nieudaną pracę i wie, że nie ma się z czego śmiać.

I wreszcie prosba do wszystkich: piszcie zawsze jak się nazywacie, ile macie lat, do jakiej chodziście szkoły. Prace Wasze — jeśli chcecie — możecie podpisywać pseudonimami, ale miejcież do nas odrobinę zaufania i przedstawiajcie się redakcji. Chcemy wiedzieć z kim mamy do czynienia.

To jakim trzeba być?

Dziś w naszej dyskusji o miłości — tylko jeden głos. Autor ma 17 lat i chodzi do X klasy L.O.

...daj spokój

Jurek wstał. Siedział z Bożeną na torach już przeszło godzinę. Kilka ruchami ręki przetarł spodnie na siedzeniu. Potem zatarł ręce i dmuchnął w nie. Wieczór był chłodny, bez gwiazd, a w dodatku wiał lekki wiatr. Podniósł kołnierz wiatrówki i spojrzął na Bożenę. Przez cały czas oparłszy głowę na piaskach przypatrywała mu się. Uśmiechnął się do niej. Wyciągając rękę powiedział:

— Chodź Żenu, odprowadzę Cię.

— Dziękuję, sama też trafię.

— Czemu nie chcesz? — zapytał zdziwiony.

Bożena wstała. Złożyła chusteczkę, na której siedziała. Bawiąc się nią powiedziała mu, żeby poszedł sobie jak nie ma czasu.

— Nie musisz mnie wyganiać. Wkrótce się dojdę samotnie nachodisz. Pójdę sam, ale nie wyganiaj mnie.

Bożena chwilę milczała, a potem rzekła patrząc mu w oczy:

— Wiesz co? Strasznie nudzi się.

Spuścił powieki. Mówił z zamkniętymi oczyma:

— Możesz tak samo dobrze to powiedzieć o sobie. Bo ja staram się urozmaicić nasz czas jak się tylko daje. Inne dziewczyny są jakieś inne.

— To leć do nich. Dajmy temu spokój i powiedz mi kiedy odjeżdżasz.

— W niedzielę.

Usłyszeli z dala przeraźliwy gwizd parowozu. Jurek pociągnął Bożenę za rękę i zeszli

z toru. Przeskoczyli rów i stanęli na ściernisku.

„Wspomnienia mi tylko zostały z tych wakacji, które mijają. Spacer, pocałunki — to będę wspominał” — myślał Jurek, przyrzekł sobie, że nikomu o tym nie opowie. „Cóż mi to da? Niech inni się tym chwają. Opowiadają tylko ci, co nie mają innego tematu i mają kompleksy...”

Przetoczył się pociąg towarowy. Jurek popatrzył na Bożenę i wyciągnął rękę starając się ją objąć; nagle zaprzagnął ją pocałować. Pochyliła się do przodu. Odgarnął jej włosy ręką. Jego rozpalone usta dotknęły jej szyi.

— Jurek — powiedziała cicho — uspokój się! Jurek...

★

„Podrwał ją na sezon” — mówili koledzy, którzy go tu znali. Było jednak całkiem inaczej. Kochał się w niej. Spędzał cały czas wolny z nią. Czasami się kłócili, ale wiedział, że oczarowała go. Mówiła mu, że go kocha, ale napastuje ją Andrzej. Radził jej dobrze, ale ona nie chciała mówić Andrzejowi o nim. — „Może się boi, że i on odejdzie, jak się o mnie dowie” — myślał.

★

Sobotę miał zajętą. Zbliżała się burza i musiał pomagać wujkowi w żmucie siana. Potem burza przeszła gdzieś bokiem i było pewne, że pogoda będzie. Szukał jej, kiedy skończyli zwozić. Nie znalazł jej. Nie było jej bowiem ani w domu, ani u Haliny.

„Może w klubo-kawiarni” — pomyślał i poszedł tam. Tam też jej nie było. Zapomniał o niej, gdy grał w brydża. Wracał przed ósmą. Specjalnie poszedł drogą a nie przez pola, żeby się z nią spotkać.

Stała na torach z jakimś bubkiem. Księżyc znów wyszedł zza przeciągających chmur. Zobaczył jak się z tym „bubkiem” całuje. Dosłyszał tylko jak mówiła cicho:

— Andrzej, daj spokój!

Krzysztof „Ryszard”
Nowy Sącz

PIĄTA LISTA CZŁONKÓW KMA

Do naszego klubu należy już 20 osób, których prace drukowaliśmy w numerach 28, 32, 37, 39.

Oto następni:

21. (Jot)
22. XM z Wałbrzycha
23. W. Stefanowski, Kartuzy
24. Krzysztof „Ryszard”, Nowy Sącz.

„Wysyłam, zanim będę żałowała. Pierwszy raz napisałam takie opowiadanie. Zawsze pisałam smętne powieści i powieść makabrę na wesole do szkolnej gazetki, która o dziwo przyjmowała „toto”.

Śmierć mrówek

Był to ostatni dzień obozu. Od rana zaczęliśmy zwinąć obóz. Było piekielnie gorąco i wszyscy najchętniej zwaliby nad rzekę albo do lasu, daleko od tego harmideru. Ale druh zwany „Cabaniskiem” tak lubiący się udzielać na wszystkich ogniskach, krzyczał tym swoim

cienkim głosikiem: — Druhny powinny wreszcie nauczyć się zwinąć namioty! Do czego to podobne. Nie zawsze będą chłopcy na widnokręgu. He, he — roześmiał się niemądrze — No, druhno Asiu — zwrócił się do mnie.

— Kiedy tak gorąco!

— Trzeba przecież dzisiaj zwinąć obóz.

„To jest drugi odcinek. Pierwszy, ku mojej ogromnej radości został wydrukowany w numerze 37 „Na Przełaj”. Duża buźka dla redakcji pisma, które pomogło mi (myślę, że nie tylko mnie) w niejednej sytuacji życiowej. Będę pisał dalej...”

STRACONE DNI

Pukałem do drzwi, za którymi byli moi najbliżsi. Za którymi chciałem znaleźć się jak najszybciej, by wszystko mieć już za sobą. Serce waliło mi jak w chwili, gdy ważyły się moje losy w sądzie. To już należało do wspomnień, które były dalekie i tak bardzo zniechędzone. Przerwałem swoje rozważania, bo oto otworzyły się drzwi, w których stała matka. Stała nieruchomo w drzwiach. Zobaczyłem w jej oczach jakby zdziwienie graniczące z roztargnieniem. Ja, o którym mówili: „twardy facet”, byłem w tej chwili tak wzruszony, że chciałem rzucić się matce na szyję, przytulić głowę do jej piersi, zapomnieć o całym świecie.

Oczekiwałem, że powie coś ciepłego, coś, co mnie zachęci do tego gestu. Nie. Po prostu powiedziała tak jak zwykle: — Ach, to ty!

To mnie zbiło z tropu, więc odpowiedziałem takim samym tonem:

— Tak, to ja — i nie patrząc na matkę wszedłem do środka. Było mi już wszystko jedno, to było to czego się najbardziej obawiałem.

W pokoju panował półmrok, z którego kolejno wylaniały się znajome mi przedmioty. Wzrok mój zatrzymywał się na stojącej w kącie sześciolletniej siostrze, trzymającej się kurczowo o rok starszego brata. Oboje byli raczej wystraszeni niż zadowoleni z mojego przyjazdu, więc by im dodać otuchy leciutko się uśmiechnąłem.

— Co już cię wypuścili? — usłyszałem znajomy głos, w którym wyczułem nutkę zniechęcenia. To oczywiście odezwał się mój przybrany ojciec. Nie odpowiedziałem nic; zresztą co miałem mu powiedzieć? On bynajmniej nie wydawał się tym przejęty, gdyż wrócił z powrotem do jedzenia. Przyglądałem się mu w milczeniu. Też się niewiele zmienił. To samo ubranie, jakie noszą ludzie pracujący na kolei. Zaraz też przypomniały mi się czasy, gdy jeszcze w krótkich majteczkach chodziłem z nim na stację. Miałem w uszach ten szum wtaczającego się pociągu, krzyki, słowa pożegnań, które nikły wraz z jego odjazdem. Było znowu cicho. Mała wymarła stacyjka, której ciśnie wypełniały bez przerwy dzwiczące telefony.

— Ty chyba jesteś głodny — przerwał moje rozmyślenia ojciec —



Stanęliśmy nad rozłożonym namiotem.

— Podnieść do góry! — krzyknął „Cabanisko” — Trzepiemy raz dwa, raz, dwa!

— Tfu — parsknęła moja przyjaciółka. Roześmiała się wtedy i zobaczyła na brezencie namiotu mrówkę. Podrzucana potrząśniętami maszerowała mimo wszystko dzielnie przez zieloną pustynię brezentu do brzegu, który był jej życiem. Szła prędko, bardzo prędko, biegła po prostu. Oglądała się na wszystkie strony i uciekała przed śmiercią.

— Rolujemy! — krzyknęło „Cabanisko”.

— Nie — chciałam krzyknąć, ale objął mnie głupi strach przed zdumionymi oczami wszystkich. Tam była przecież tylko mrówka. Czarny punkcik był już stosunkowo blisko, ale nie mogłam go jeszcze dosięgnąć.

Pierwsza grupa złożyła bok namiotu, a ja patrzyłam jak zaczarowana na mrówkę, zahipnotyzowana jej błędnym spojrzeniem. Biegła prędko, ale już zaczęło rolowanie. Chciałam rzucić się przed siebie, chwycić mrówkę i odrzucić ją daleko, ale rąk zabrakło mi odwagi. Dlaczego? Chodziło przecież o życie. Tak, ale o życie tylko mrówki. Widziałam jak mrówka została pochłonięta przez żwaly brezentu. Stałam milcząca, wpatrzona w ziemię.

— Żal obozu, no cóż, czas mija i nie wraca, he, he — śmiało się do mnie „Cabanisko”.

— Tak druhu, naturalnie!

(Jot)³

„Napisałem już kilka opowiadań, ale spaliłem je. Po napisaniu „Metod” odważyłem się. Wysyłam. Niech ktoś, kto lepiej niż ja zna się na tych sprawach, oceni moją „pisaninę”...

metody

— Matuszkiewicz — dostateczny, Orłowska — dostateczny, Owerkowski — no cóż, wypracowane bardzo ładne, ale przyznaj się odwalaleś...

— Nie, pani profesorko, naprawdę, ja sam...

— Hm, bardzo dziwne, ale nie, mnie nie oszukasz, przekonamy się jeszcze.

*

... Do domu wracał zawsze przygnębiony, wzrok miał wbity w ziemię; gdy matka otwierała drzwi i pytała „no, jak tam?” odburkiwał coś niewyraźnie, mijał ją nie podnosząc wzroku i milcząc wchodził do kuchni. Potem zjawiał się ojciec i jak zwykle rozlegały się skargi matki: „Nic nie pomaga, lata gdzieś całymi dniami, i żeby się chociaż uczył!” Potem do utyskiwania matki dorzucał ojciec swoje trzy grosze. Morały denerwowały go, zaraz po obiedzie uciekał z domu. Włóczył się cały dzień po mieście, czasami wpadał do klubu, w domu zjawiał się późno w nocy i na drugi dzień cała historia zaczynała się od początku. Pewnego razu zrozumiał cały bezsens swojego postępowania. Postanowił wyrobić w sobie charakter i wreszcie wziąć się w garść. Skutki całodziennego siedzenia nad książką nie daly na siebie długo czekać. 4+ z geografii! Z tej nieszczęsnej geografii, która zawsze była jego „piętą achillesową”. Po raz pierwszy w życiu poczuł, co to znaczy być dumnym z siebie. Już dawno nie wracał do domu w takim dobrym nastroju.

Minęło kilka tygodni. Matka w nagrodę wyprawiła mu wspaniałe urodziny. Zaczęło mu się zdawać, że wszyscy patrzą na niego jakimś innym wzrokiem. Sąsiadka, którą zawsze spotykał, gdy szedł do szkoły, uśmiechała się do niego; Marta zgodziła się iść z nim do kina, a zawsze surowy ojciec zaczął mu co tydzień wypłacać dosyć pokaźną sumkę.



Pewnego razu, w sobotę, wybrał się do klubu. Wrócił późno, więc cicho zaczął się skradać do swego pokoju, gdy nagle dobiegł go głos ojca rozmawiającego z kolegą:

— ... Albo weźmy mojego syna, wie pan, zawsze był lajdakiem. Ale od czasu, jak zacząłem stosować swoje metody wychowawcze, radykalnie się zmienił. Przynosi teraz same czwórki. A dawniej? Sam pan zresztą widział... Dobrze jednak mieć w sobie coś z psychologa. Zmienił się od czasu jak mu daję pieniądze... tak... taka jest dziś młodzież...

*

— Owerkowski — rozległ się głos profesorki — powiedz wreszcie, jesteś przygotowany czy nie?

„Oczywiście, że jestem” — myślał — „ale mam jej to powiedzieć?”

Nagle wyprostował się i palnął:

— Nie jestem, po prostu mi się nie chciało. XM z Wałbrzycha

i nie czekając na odpowiedź powiedział do matki:

— Daj mu coś zjeść.

Postawiła przede mną miskę kartofli z kwaśnym mlekiem a sama usiadła naprzeciw, z ciekawością mi się przypatrując. Ojciec też śledził każdy mój ruch. Nie bardzo im się powodzi — pomyślałem, takie jedzenie było zawsze wtedy, gdy przycisnęła bieda.

— Dlaczego tak krótko siedziałeś, miałeś być dłużej? — pytał ojciec.

— A może ty uciekłeś i musisz jeszcze wrócić? — spytała z nieukrywaną nadzieją w głosie matka.

Tego miałem już dość. Porwałem z krzesła marynarkę i ruszyłem ku drzwiom.

Siedzieli tak jak przedtem. Nikt nie próbował mnie zatrzymać, dla nich byłem tylko przestępcą.

Ze łzami w oczach wybiegłem przed dom. Ściemniało się już. Nie wiedziałem, dokąd mam iść.

Szedłem wymarłą ulicą. Deszcz spływał mi po włosach, wydając miarowy szum, który mieszał się wraz ze stukotem mych przemokniętych butów, który odbijając się dalekim echem ginał w ciemnościach.

Toni z Kowar
(członek K.M.A.)



Mam 19 lat, uczę się w ZSZ dla pracujących w Kartuzach. Opisane poniżej wydarzenie jest autentyczne.

Rozmowa z maluchem

— Przyjdź do nas... Ale szybko, zaraz... Nie masz pojęcia co mamy.

Stała przede mną Mariolka, siostra Zbyszka.

— No, co macie? — spytałem od niechcenia, bo coś to za rozmowa z maluchem?

— Kotka. Znalazłam go dziś rano w ogródku. Pewnie długo nie jadł. Okropnie chudy! Chodź!

— Też! Ja kotów nie lubię...

— Ale to nie jest taki zwykły kotek. Zobaczysz jaki. Nazwałam go Milek. Zbyszkowi też się podoba...

Wzięła mnie za rękę i ciągnęła do domu. Przyszło mi jednak do głowy, że może to naprawdę jakiś nadzwyczajny kot. Angorski, czy sjamski? Szedłem więc, niby to się ociągając, a'e porządnie zaciekawiony. Weszliśmy do kuchni. Tam, koło pieca, w pudełku od butów, rezydował właśnie Milek. — Przyszedłeś go obejrzyć? Warto, bracie powiadam ci... — w głosie Zbyszka był jakiś specjalny ton. Zbliżyłem się do pudełka. Na miękkim posła-



niu leżał zwinięty w kłębek kocia. Okropny! Dziwnego koloru, ze śmiesznym kwadratowym łebkiem i ogromnymi jak na kota uszami. Już—już miałem się roześmiać, kiedy spojrzałem na Mariolę. Wpatrywała się w złotobure stworzonko wzrokiem pełnym czułości.

— No powiedz, powiedz — prawda, że śliczny?

Zbyszek podbiegł do mnie, jak to on — szybko i energicznie.

— Cóżes ty, bracie, tak zanie-mówił? Pewnie z zachwyty — zapytał wesoło. — Nie widzisz, że ona czeka na pochwałę...

Mówiąc to dał mi przyjacielskiego kuksańca w bok. Kuksaniec ten znaczył z pewnością: — Nie wyśmiewaj się... W oczach Marioli Milek jest naprawdę ładny... Z kolei ja też szturchnąłem Zbyszka na znak, że rozumiem. Powiedziałem: — Całkiem sobie niczego ten wasz Milek. A zobaczcie, jaki będzie kiedy go trochę oddechacie!

W. Stefanowski, Kartuzy